

Marianna Alfierowa

Skrzydła

Pod podbródkiem powstał twardy guz, sprawiał ból przy łykaniu, język obracał się z trudem, napływająca ślina wypełniała usta. Ale Wik, ten ból znosił prawie z radością. Od dawna czekał na chwilę, kiedy rogowa płytką wykielkuje i tak, jak powinna, osłoni usta i szyję. Wtedy, będzie prawie nie do pokonania – grube, łopatkowe osłony na plecach, okrągły, szary hełm, błyszczące nałokietniki i nagolenniki. Goły, pozostanie tylko brzuch – tam, pancerz utworzy się w ostatniej kolejności.

Rdzeń pod podbródkiem nieznośnie uciskał, ale skóra wreszcie pękła i bryzgnęła krew. Wczepił się palcami w kamienie. Strużka krwi pociekła po pancerzu na piersiach i poślaskotała delikatną skórę na brzuchu... Żuchwę unieruchomiło – opancerzenie przyrastało do twarzy. Chwiejąc, podniósł się i obmacał głowę: twarde jak stal płyty były na szczękach i podbródku, nad nosem i ustami utworzyła się krata.

Porzucił ustronne legowisko w kamieniach, wyszedł na ścieżkę, która wiała się wśród ciernistych krzewów i, wreszcie, wydostał się na szeroką drogę. Teraz, nie musi się chować – jego osłony nie są gorsze niż innych. Oprócz, oczywiście, tych, którzy już nie zginają się w pasie. Ale tych, posiadających pełne zabezpieczenie, jest bardzo mało. Z nieśmiałością przyglądał się ich błyszczącym pancerzom i plecy, mimo woli, garbiły się, by przykryć nieosłonięty brzuch.

Zbiegowisko, zobaczył niespodziewanie. Przecisnął się między błyszczącymi w słońcu plecami, odsuwając źle zrogowaciałych i zajrzał tam, gdzie patrzyli pozostali. Na ziemi, leżał nieosłonięty. Miał różową skórę, jakby się dopiero co urodził. Był dorosły, ale bez jednej choćby rogowej płyty! Któryś z opancerzonych, leniwie kopnął leżącego i miękkie, nieosłonięte ciało, drgnęło. Wik też drgnął z bólu: tak kleszcz przegryza w pancerzu małe otwory, dobierając się do skóry. Pokręcił głową. „Skąd, ten tu się wziął?” – chciał zapytać, ale dokoła stali tylko wybrańcy, więc nie odważył się. Znowu uderzono leżącego. Mocniej. Nieosłonięte ciało podskoczyło z bólu i obróciło się na plecy. Twarz odsłoniła się. Twarz... Nos ozdobiony refleksem świetlnym, pełne wargi. Policzki, pozbawione rumieńca, pokryte białym puszkim. Oczy zamknięte, ale cienkie powieki sprawiają wrażenie pergaminowych i niteczki żył prześwitujące przy skroniach.

Jak dawno Wik nie widział twarzy! Tylko u małych dzieci, ale i te są ukrywane. Z rzadka, przelotnie, czyjeś oczy błysną za krat. Z rzadka, przelotnie, czyjeś wargi, jeszcze nie przykryte przyłbicą.

Odepchnął dwóch wybranych i ci upadli niczym milczące posągi, spod pancerzy posypały się żółte paprochy i wydostał się odrażający smród. Skoczył do przodu, chwycił bezbronne ciało i rzucił się do ucieczki.

Ściagała go ochrona. Grzechotały zbroje. Głowa uratowanego objęła się o ramię w takt każdego kroku. Od czasu do czasu, jego powieki drgały. I drżały usta. Ciepły oddech przenikał pod płytki pancerza na piersiach.

Biegł. Tupot za nim nagle przyspieszył. Potem, otrzymał uderzenie w plecy. Potknął się, przyspieszył kroku, choć ucieczka wydawała się już niemożliwa.

Co robić? Rzucić nieosłoniętego? Póki rozgorączkowani pościgiem opancerzeni będą rozrywać ciało, on, Wik, ucieknie. Ale nie mógł rzucić. Fizycznie nie mógł. Nieosłonięty, jakby przyrósł do rąk.

W ciele pojawił się ból. Nie od uderzenia, ale taki, jaki pojawia się przy kiełkowaniu płyt. Jakby ogniste igły weszły w oznaczone punkty. Krzyknął z przerażenia: Płyty odpadają!.. Usłyszał trzask - zrogowaciały pancerz pękł na plecach i Wik, każdą cząstką siebie poczuł bezbronność miękkiego, różowego ciała, wystawionego na pastwę wrogów.

Rzucił się do przodu, odepchnął i, poleciał. Tam, za plecami, zamiast połyskujących brązem płyt, wykiełkowały dwa, przezroczyste skrzydła. Leciał, a na głowy wybranych, sypały się płyty z pleców, piersi, twarzy.

Znów mógł się uśmiechać, śmiać się, chmurzyć brwi i marszczyć czoło.

Na rękach, nieosłonięty słabo się poruszył, czując świeże strumienie powietrza. Oczy otworzyły się i przepełnione bólem spojrzenie utkwilo w twarzy lecącego.

Wzbijał się coraz wyżej, naprzeciw błękitnemu i świeżemu wiatrowi. W przezroczystych błonach skrzydeł przelewała się tęcza, podarowana słonecznym promieniem.

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz